

*...Zegary biją, nawołując siebie  
I można zobaczyć koniec czasu.  
Na zewnątrz skrada się dziwny mężczyzna  
I dziwny pies szczeka zbudzony ze snu  
Poza tym jest cisza...  
R. M. Rilke*

## Prolog. Stare Szkoty – koniec marca 1945 roku

**R**upert Wolf<sup>1</sup> siedział na ławeczce pod świerkiem. Zundappa z przyczepą zostawił u podnóża ulicy Szkockiej. „Ulica” była jedynie ścieżką prostopadłą do kanału Raduni i prowadziła do trzech zabudowań położonych na zboczu wśród sadów.

Nad wzniesieniem górował Bastion Jezuicki. Marcowe słońce zachodziło na czerwono i kładło się po krzewach wokół pnia, oświetlając ławeczkę. W powiewach wiatru od pożarów miasta światło migotało i rozbijało obraz postaci na ciemne i świecące na przemian atomy.

Wolf czuł, że jego ciało nie stanowi już zwartej całości: jego części rozchodzą się i na przemian scalają w kupę drgającej galarety.

Rzadko dostawał listy od żony, a w ostatnim pisała, że córeczka, mama i ona sama bardzo boją się Ruskich. Jednak pomimo propagandy strachu nie opuszczą kochanego Danziga.

Ogród wokół domu stanowił stały punkt odniesienia, jak bastion na szczycie. Świerk natomiast był w okolicy jednym z punktów orientacyjnych, bo Bastion osłonięty drzewami pozostawał niewidoczny.

Pod świerkiem dzieci z okolicy bawiły się w krasnoludki. A czasem w wojnę.

Bastion stawał się zamkiem zlej królowej lub fortecą do zdobycia.

Zaskoczyło go, że w takiej chwili pomyślał o błahych wydarzeniach z dzieciństwa. Widocznie mózg przywołał wspomnienia na ratunek. Ale Wolf wiedział jedno: prawda jest tu i teraz, wczoraj i jutro to tylko wyobraźnia. A tu i teraz było niewyobrażalne.

Znieruchomiał, niezdolny do żadnej reakcji. Był jak pień świerka w środku piekielnej karuzeli, która wirowała i przyspieszała prowadząc go do tego miejsca. Ale jego *Heimat* nie przypominał już Itaki,

---

<sup>1</sup> Postaci i zdarzenia w tej opowieści są częściowo prawdziwe, ale narrator nie mógł przecież znać w szczegółach wydarzeń, w których nie brał udziału osobiście. Są one rezultatem jego wyobraźni i długich rozmów z przyjaciółmi.

a wierny stary pies tylko podkulił ogon i w zupełnej ciszy wczołgał się pod ławkę...

Matka wisiała w sieni: ostrożnie z lugerem w dłoni, przeszedł do kuchni. Żona i córeczka wisiały na belce stropowej. Ciała w świetle wpadającym przez wyrwę po pocisku wyraźnie odcinały się od tła ściany.

Na ścianie monotonnie bzycały tysiące much i komarów. W odruchu przerażenia wybiegł na bezpieczny teren – pod świerk.

Nagle pomimo dalekich odgłosów dogasających jeszcze w dole walk, pożarów i szelestu gałęzi jego czujność obudziły stłumione krzyki w języku polskim i rosyjskim. Dochodziły od strony Raduni.

Automatycznie zerwał się z ławki i pobiegł jak na froncie zakosami w górę ogrodu w kierunku Bastionu...

...Kobieta w wieku lat około trzydziestu szarpała się z dwoma krasnoarmiejcami, którzy wyrywali jej z rąk kierownicę motocykla z przyczepą.

– *Bładź! Puskaj maszynu!*

– Nie dam! – wrzeszczała – To mój motor! Won, puszczajcie!

Wzdłuż wału przy kanale biegł starszina z pepeszą krzycząc: *Ostawcie sukinsyny! Eto sowsiem biez bienzyny, duraki! Ostawtie! Paszli won!*

Czerwoni na gębach od wysiłku i samogonu żołnierze puścili babę.

Pokornie zsunęła się z siodełka motoru i z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami próbowała ochłonać z emocji. Stopniowo docierało do niej, że przecież mogła zginąć, mogła być zgwałcona lub skopana, a dopiero potem zastrzelona.

Spojrzała odruchowo przychylnie na przystojnego oficera starając się by nie wypadło to zanadto zachęcająco.

Jeszcze czego! – pomyślała znając uczucia jakie wzbudzała u mężczyzn. Drobnego wzrostu o kasztanowatych włosach do ramion, wciętej talii i szczupłych nogach wyglądała jak zjawisko z innego świata.

Mężczyzna zajął jej w oczy i szarmancko pocałował w rękę. Zauważył na niej drogi szwajcarski zegarek. – *Imiejesz czasy? Zdziwił się Rosjanin – u mienia toże czasy: mnogo.* Jednocześnie zachodził w głowę jak udało się babie zachować taki zegarek. Dumnie odsłonił koszulę pod bluzą pokazując kilkanaście sztuk różnych zegarków:

– *Mienia zawut Iwan – Iwan Iwanowicz Wolkow.... A was?*

– Bronia Wilczyńska – odpowiedziała cichutko, uśmiechając się w duchu na myśl o podobieństwie nazwisk.

– *Kuda ty idiosz Bronia?*

– A ścieżką do góry – tam, gdzie ten dom chyba już opuszczony...

– *No to pajdiom, dawaj, dawaj Bronia.*

Upatrzyła sobie to miejsce idąc wzdłuż kanału: dom na wzgórzu, obok niego piękny wyrosnięty świerk, a wokół i powyżej wznoszący się tarasowo ogród.

Przebyła długą drogę. Pracowała w Rzeszowie u Niemca w hurtowni zrabowanych towarów luksusowych i alkoholi dla dzielnych chłopców walczących na froncie wschodnim.

Po przejściu frontu nie chciała wracać do rodzinnego Płocka. Jej siostry mieszkaly razem w Rzeszowie, ale niespokojna dusza kazała ruszyć w nieznaną, na północ. Ludzie i nowe władze przekonywali, że nie tylko Gdynia, ale również Gdańsk będzie należał do Polski.

Była mężatką od 1944 r. Ślub odbył się w Poznaniu. Prawdziwy cud. Przedwojenny narzeczony Roman Wilczyński, lekarz dla jeńców w Stalagu dostał od komendanta przepustkę. Świadkowali przypadkowi przechodnie i stary strażnik z „giverą” z pierwszej wojny światowej.

Wysłała ostatni list: „Kochanie jadę do Danzing i tam będę na ciebie czekać”. Wojna powoli dogasała... Idąc nie oglądała się za siebie, ale czuła się nieco spięta słysząc za plecami kroki Iwana.

Na własne oczy widziała wyczyny niektórych żołdaków traktujących wszystkich mieszkańców tak zwanych terenów odzyskanych jak faszystów. Odwróciła się dopiero przed świerkiem rosnącym przy wejściowym ganku.

– Czego za mną leziesz?

– *Nada pomagat’ damie* – Iwan zaprezentował uśmiech ze złotą „szóstką” w szerokiej szczęce.

– Jak już tu jesteś, to wejdź pierwszy. Zdjęła plecak i zrezygnowana usiadła na ławeczce. Poczwała zapach igieł, wiatru i jeszcze czegoś dziwnego i przerażającego. Obecność śmierci. Z niepokojem patrzyła jak Rosjanin ostrożnie uchyla drzwi domu i wsuwa się do wewnątrz z pepeszą w dłoniach. Przesuwał się na palcach korytarzem przy schodach prowadzących do piwnicy, zerkając co chwila w dół i w górę. Wszedł przez otwarte drzwi do kuchni.

– I co? – zawołała Bronka.

– *Gawno, scheise!* – zaklął z wrażenia. Oniemiały spoglądał na wiszące na belce dwa ciała – dziewczynki i kobiety. Dalej w otwartych drzwiach do sieni wisiała starsza kobieta.

– *Wchodi – eto tolko trupy żeńszczyn.*

Przestraszona nie na żarty weszła do kuchni.

- Jezus Maria! A to kto?
- *Eto germańskie żeńszczyzny.*

Na pewno tak uciekły przed gwałtem – pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

Dziewczynka miała może sześć – siedem lat. Czekwały do ostatniej chwili, bo jeszcze teraz było słycać z oddali kanonadę artyleryjską i strzały z broni maszynowej.

Bronka wybiegła do ogrodu. Miasto widziane ze wzgórza sprawiało dość upiorne wrażenie. Morze ruin śródmieścia rozbłyskiwało tłęciami się gdzieniegdzie pożarami. Zwłaszcza zachodzące słońce i narastające wycie wiatru nadawały widowisku wagnerowski wręcz charakter...

Wolf wbiegł na szczyt wzgórza i szybkim krokiem minął wyrwę w murze ogradzającym Bastion. Wpadł przez główne wejście do pomieszczenia dla wartowników. Zaduch rzucił nim o ścianę. Nie zdążył odetchnąć, gdy otrzymał potężny cios kolbą karabinu. Po chwili ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Potworny ból sprowadził go do pozycji horyzontalnej. W tej samej chwili przeszła mu przez głowę straszna myśl... Nie pochował rodziny. Przed nim z półmroku światła górniczych lampek karbidowych wyłonił się młody Sturmführer SS w czyściutkim mundurze, wypucowanych butach i MP w dłoniach.

- Kim ty jesteś? – zagadnął przyjaźnie.

– *Kameraden! Ich bin Hauptmann Rupert Wolf*<sup>1</sup> – przedstawił się usiłując jednocześnie przyjąć na leżącą postawę na baczność. Udało mu się tylko nieudolnie stuknąć obcasami dziurawych butów. W odpowiedzi pod ceglany sklepieniem rozległ się rechot kilku kameraden, ubranych w czarne peleryny i kaptury. Zarośnięci wyglądali jak upiorne krasnale.

- Wolf? – to tak jak my. Bo my tu wszyscy wehrwolfy!

W co ja wdepnąłem – pomyślał. Nie trawił tej buty i niezłomnej wiary w tysiącletnią Rzeszę. Sam był wszechstronnie wyszkoloną maszyną do zabijania, chlubą jednostki specjalnej Skorzenego, gdzie dorobił się jedynie szramy na policzku i w sercu.

Krótko przed wojną traktował służbę jak sport ekstremalny; treningi, sztuki walki, szkoła przetrwania, nocne wielokilometrowe marsze, nauka pilotażu, skoki spadochronowe; to było marzenie każdego chłopaka. Był niemal automatem, robotem o ciemnoblond włosach i niebieskich oczach. Wysoki, silny, zwarty i gotowy. Go-

<sup>1</sup>niem.: Koledzy! Jestem kapitan Rupert Wolf.

towy, ale do czego? Dowiedział się bardzo szybko do czego, gdy wybuchła prawdziwa wojna i zaczęło się zabijanie. Z czasem jak wszyscy zobojętniał, a bezsens tej całej karuzeli śmierci osłabiał w nim wiarę w führera i zwycięstwo Rzeszy. Wiara ta umarła ostatecznie po doświadczeniach kampanii rosyjskiej. Widoki spalonych planowo wiosek i rozstrzelanych cywili budziły strach przed ewentualnym losem Niemców w wypadku przegranej wojny. A z czasem był pewny, że klęska będzie totalna. Pozostaną tylko krew, pot i łzy. I ból sumienia, bo sam przecież strzelał do niewinnych ludzi.

Sturmführer obejrzał dokładnie papiery Wolfa, z wielką uwagą żelazny krzyż i „mianował” go jednym z nich wskazując pryczę pod ścianą. Rupert przykrył się brudnymi kocami i usiłował zasnąć.

Tymczasem wilkołaki prowadziły naradę wojenną; zaplanowali nocny wypad po żarcie i picie. Pomimo potwornego zmęczenia adrenalina nie pozwoliła nawet na chwilową drzemkę. Wolf był w stanie „miejscowego znieczulenia”, ale widział i słyszał bardzo wyraźnie.

Krasnale, inaczej niż w bajce o Królewnie Śnieżce, planowały jakieś łajdactwo. Po krótkiej naradzie esesman zostawił na straży grubego Hermana i kamaraden zniknęli w mroku...

Powoli zaczęło się ściemniać. Bronka z ociąganiem wróciła do domu, bo musieli przecież odciąć i pochować ciała. Iwan przyprowadził ze sobą dwóch żołdatów, którzy wynieśli martwe kobiety przed dom. Potem znalezionymi w domu szmatami i szczotką, na ile to było możliwe dokładnie oczyścili z owadów rozwaloną ścianę. Wyrwę po pocisku artyleryjskim zakryli na słowo honoru prześcieradłami i kocami.

Była to praca syzyfowa, bo i tak całe chmary komarów atakowały tę część Oruni, po tym jak Niemcy wysadzili wały w pobliskich Żuławach.

Starszina przeklinał straszliwie i wyżywał się niemiłosiernie na swoich żołnierzach.

W odległości około pięćdziesięciu metrów stał wśród drzew drugi domek. Po skończonej robocie żołnierze z rozkazu Iwana poszli w jego kierunku na kwaterę, a on sam porąbał kilka starych mebli i rozpałił ogień pod kuchenką, a potem w piecu kaflowym stojącym w pokoju na poddaszu.

Zmęczony osunął się na drewnianą ławę i natychmiast zasnął. Bronka położyła się pod puchową pierzyną w wielkim małżeńskim łóżu z drewna orzechowego, stojącym na poddaszu.

Rosjanin wprawdzie nauczył się spać nawet na stojąco i w marszu, ale był to wyostrzony w czasie długich walk sen wilka. Zmysły, przede wszystkim słuchu, a u Iwana również węchu pozostawały jednak w stanie ciągłego napięcia. Około północy usłyszał ostrożne kroki od strony drzwi prowadzących z kuchni poprzez niewielką sień na ogrodzone podwórko na tyłach domu. Natychmiast bezszelestnie zsunął się z ławy i odczołgał poza smugę księżycowego światła padającą na podłogę kuchni.

W rękę trzymał odbezpieczony nagan, ale dla pewności sięgnął pod ławę po pepeszę i zapasowy magazynek. W chwili gdy wsunął się za kuchenkę węglową i odbezpieczał pepeszę, drzwi uchyliły się z leciutkim skrzypieniem, a w otworze ukazała się czarna sylwetka z MP.

Na tle poświaty księżycy wyglądała jak wycinanka.

Iwan otworzył ogień krótką serią. Zjawa osunęła się na podłogę. Zdążył jeszcze usłyszeć szept: *Mein Gott, Mein Gott*, gdy na zewnątrz rozpętało się piekło. Serie z pepesz i szmajserów przeszły w jednostajną, ale krótką kanonadę. Potem jeszcze kilka siarczystych przekleństw po rosyjsku, po strzale z pistoletu i do kuchni wbiegło dwóch żołnierzy z pepeszami w rękach wrzeszcząc: *Towariszcz starszina, towariszcz starszina!*

– *Nie kriczi, sobaka, job twoja mać, żeńszczyzna spit!*

Bronka oczywiście nie spała i trzęsąc się ze strachu zeszła po schodach do kuchni...

...Około północy Wolf i Herman usłyszeli krótkie serie z broni automatycznej. Wolf mimo zmęczenia instynktownie skoczył na równe nogi. Po chwili zapadła krótka cisza, którą przerwały przekleństwa po rosyjsku i wysoki wyróżniający się głos kobiety.

Ani słowa po niemiecku.

– *Alles kaput!*<sup>1</sup> – zdecydował Herman i zrezygnowany upuścił MP na ziemię. Potem szybko przebrał się w cywilne łachy, których sterta wałala się w kącie na wszelki wypadek, i wybiegając krzyknął:

– Nie wiem jak ty, znajdo, ale ja spieprzam!

W tej samej chwili Bronka i ruscy usłyszeli przeciągłe, pełne bólu wycie. Dochodziło od strony Bastionu. Patrzyła ze zgrozą, jak do sieni wczołguje się stary owczarek niemiecki, który kierując łeb do stronę szczytu wzgórza zawył w odpowiedzi długo i żałośnie.

---

<sup>1</sup> niem.: Wszystko przepadło!